

EUGENIKA

czasopismo poświęcone dobrej doli i pięknej śmierci
wychodzi około 15-go każdego miesiąca.

Redakcja i administracja: Zakopane, Przecznicza 27, willa Baśka. — Redaktor naczelny, odp. i wydawca **Dr Tadeusz Mischke**. Przedpłata: — rocznie z przesyłką pocztową 14 K. — Cena zeszytu bez abonamentu 1 K. — Ogłoszenia: według umowy.

Prace zgodne z przeznaczeniem czasopisma mogą być według uznania redakcji zamieszczane w dziale p. t.: „Łamy gościnności”, o ile będą zawierały dokładny adres autora. Redakcja porozumiewa się wyłącznie pisemnie, lub zapomocą odpowiedzi drukowanych w czasopiśmie, o ile idzie o sprawy nie własne; rękopisów nie zwraca, listów nieopłaconych nie przyjmuje, na niepodpisane nie odpowiada. — Wszelkie prawa autorskie dla artykułów w „Eugenice” zamieszczonych zastrzega się.

W I D M A.

(Ciąg dalszy).

Jana X. znałem od dawna. Był to chemik z zawodu, człowiek niezwyklego pochodzenia. Pradziad jego po mieczu przyszedł z Saksonji do Siedmiogrodu, tam ożenił się z rumunką, dziad po mieczu pojął za żonę węgierkę, której matka była jednak słowaczką. Ojciec jego zawarł związek małżeński z włoską po ojcu, ale tatarką po matce i osiadł w Styryi jako gospodarz na stumorgowym folwarku. Ożeniwszy się młodo przyjeżdżał (ojciec) do Galicji na ćwiczenia wojskowe wraz z żoną i synkiem, późniejszym chemikiem, o którym właśnie chcę mówić. Poznawszy go jeszcze wówczas jako chłopca, spotkałem w 1911 r. na higienicznej wystawie w Dreźnie. Tam umówiliśmy wspólną wycieczkę brzegiem morskim między Genuą a Marsylią, która istotnie przyszła w rok później do skutku. Mieliśmy sposobność wzajemnie lepiej się poznać. W r. 1914 zeszliliśmy się znowu z początkiem wojny na wschodnim froncie galicyjskim. Mało mówiliśmy ze sobą,

a kiedy w jednej z bitew otrzymał ranę postrzałową prawego ramienia, zniknął mi z oczu.

W kilka miesięcy później ujrzałem go znowu w Wiedniu. Jakaś krewna popychała go na wózek dla kalek. Nie poznałem go, ale kiedy przechodziłem, zwrócił żywo głowę w moją stronę, podniósł do góry kikut lewego ramienia bez ręki i wymówił głośno moje nazwisko, ale tak niewyraźnie, że tylko się można było domyśleć. Ja jeszcze nie wiedziałem przed kim stoję, a położenie moje było tem przykrzejsze, że mi zaczął pokazywać spustoszenia swego ciała kikutem lewego przedramienia. Lewy oczodół ział pustką z pod zapadniętej powieki, lewy policzek zeszpecony, nierównymi bliznami, język skrócony i częściowo porażony, prawe ramię bezwładne, ze zniekształconą ręką, stopy obu nóg były gdzieś daleko na wschodzie wraz z dłonią lewą pogrzebane. Mówił tak niewyraźnie, że nie zrozumiałem jego nazwiska mimo, że mi je kilkakrotnie powtórzył. Zakłopotanie moje wzrastało. Gdy się wreszcie zaczął śmiać jakoś bulkocząco, krewniaczka buchnęła w płacz przejmujący, którego powstrzymać nie mogła. Jego śmiech, jej płacz i moje oczekiwanie składało się na przykrą sytuację. Zwrócił się wreszcie ku niej i zawołał: „Iha hom leu“, Miało to znaczyć: „Liza komm her“. Odkrył kikutem karton, na którym dużymi literami było kilka zdań wypisanych. Wskazał na jedno z nich. Za chwilę Liza uspokoiwszy się, wymieniła mi jego nazwisko. Uściśnąłem mu serdecznie to miejsce przedramienia, do którego niegdyś ręka była należała i milczałem, patrząc w twarz jego. Była tak zmieniona i potwornie zeszpecona, że nie mogłem dopatrzyć się w nim dawnego, bardzo przystojnego mężczyzny. Od tej chwili widywaliśmy się codziennie podczas jego południowych przejazdów, w szpitalu, gdzie starano się przywrócić mu władzę w prawym ramieniu i języku lub w jego mieszkaniu. Stan języka poprawiał się dosyć szybko. Mówił coraz wyraźniej, ale ramię opierało się wszelkim zabiegom lekarzy. Radość jego z powodu ustępowania porażenia języka była ogromna.

Rozmawialiśmy coraz więcej. Przeszkadzało mu wreszcie już tylko skrócenie języka.

Dowiedziałem się więc, że z pierwszej rany, którą mu opa-

trywałem, wyleczył się szybko i wróciwszy na front, wkrótce doznał wielokrotnych obrażeń ciężkich od odłamków armatniego pocisku, obu stóp, rąk i głowy. Przechorowawszy się ciężko, doszedł wreszcie do rekonwalescencji. Cerę miał żółto-błądą, zapadnięte policzki, całe ciało wychudłe w wysokim stopniu, włosy pobielałe i przerzedzone, wyraz twarzy przerażający.

Patrząc na niego przypominałem sobie dawne rozmowy. Żartował nieraz ze swojej „czystej” krwi niemieckiej, chociaż się za Niemca uważał.

Kiedy podczas wycieczki w r. 1912 szykanowali nas Włosi słysząc rozmawiających między sobą po niemiecku, bronił siebie pochodzeniem z matki włoszki, a mnie polskością, co zupełny skutek odniosło, zwłaszcza, że włoszczyzną władał wybornie. Zgadzał się wówczas ze mną, że ludzie wszystkich narodów mogliby żyć ze sobą w zgodzie, gdyby nie dysgeniczni patryjoci tj. dynastyci, rządy, politycy, dyplomaci, niektórzy artyści i przede wszystkim dziennikarze. Z tych to źródeł wytryskają strumienie dysgenicznego patryjotyzmu, który oglupia tłumy kobiet, a przez nie dzieci i młodzieży, przenosząc się tą drogą na umysły bezkrytycznych i naiwnych mężczyzn i opanowując wszystkie dziedziny ludzkiej pracy.

Tak dzieje się wśród wszystkich narodów.

Opętanie dysgenicznym patryjotyzmem przechodzi w krew i tradycję, pozostawia tylko nie wielu nie dotkniętych zakażeniem. Reszta pijana swoistym szaleństwem nie spostrzega swego chorobliwego stanu.

Dla tego wojny są koniecznością i najtrzeźwiejsi udział w nich brać muszą, uchwyceni w tryby konieczności, bo w tych warunkach usuwanie się od ruchów obronnych, przekracza siły ludzi zwyczajnych, a nadzwyczajnych tak mało, że giną w oceanie przeciętności.

Zadaniem nadzwyczajnych jest rozpoczęcie dyskusji międzynarodowej i dawanie do niej ustawicznych impulsów na temat niwelacji eugenicznej przy pozostawieniu wszystkich zresztą indywidualnych różnic między ludźmi.

Dotychczas takiej dyskusji nie było. To, co czytamy w prasie wszystkich narodów, świadczy o niezachwianem panowaniu

pospolitych, prostackich uczuć dysgenicznych nad rozumem ludzi zwyczajnych.

Ztąd zaś wynikają pospolite, prostackie czyny dysgeniczne.

Te oto moje zapatrywania zyskiwały zupełną aprobatę Jana. Był to jeden z tych Niemców, którzy w żadnej a więc i w niemieckiej państwowości nie upatrują szczęścia. Nie pragnął on wojny ani ze Słowianami, ani z Francuzami czy Włochami, ani z Anglikami. Znał języki romańskie i kochał łatyńską kulturę. Nie przeszkadzały mu też bynajmniej wszystkie inne narodowości, o ile same nie nastawały na jego „człowieczość“.

Dla mnie był ten wyjątkowy Niemiec szeroko w świat patrzący o wiele miłszym, niż bardzo wielu ciasnogłowych i dysgenicznie patryotycznych rodaków.

Rodzice jego mieszkali w Styrii i rzadko się z nimi widywał. Matka nie widziała okaleczonych rąk i nóg jego, bo dotąd zakrywano je przed nią, mówiąc, że może jeszcze będzie je można uratować. Kiedy otrzymał od niej wiadomość, że ma zamiar odwiedzić go, zwierzył się przedemną, że jej wyjawi prawdziwy stan swego zdrowia z zachowaniem pewnych ostrożności i prosił mnie o wyjście naprzeciw niej na dworzec. Dał mi fotografię i dodał kilka szczegółów: otyła, wysoka, nieznacznie posiwiiała. Ale nie przybyła taka staruszka oznaczonym pociągiem. Wróciłem sam.

Dzień był niezwykle upalny. Jan leżał na sofie ze starannie przykrytymi stopami i zawiniętymi przedramionami. Miał matkę przygotować na wyjawienie prawdy, ale nie w dzień jej przybycia. Dowiedziawszy się odemnie, że nie przybyła, czekał jeszcze pół godziny i uwolniwszy nogi i ręce od zawijaków, leżał chłodząc się, aż zasnął.

Ja pograżyłem się w czytaniu wśród ciszy dnia skwarne go. Łoskot upadającego ciała wyrwał mnie z zamyślenia i przebudził Jana, który zapomniawszy o swoim niedołęstwie, zeskokczył ze sofy aby ratować omdlałą matkę, (która jednak przyjechała i weszła do pokoju niepostrzeżenie) leżącą na posadzce i upadł tuż koło niej.

Oboje przyszli wkrótce do siebie, nie odniósłszy znaczących obrażeń na ciele. Staruszka odzyskawszy przytomność,

uśmiechała się swobodnie z wyrazem radosnym na twarzy i głośkała syna powtarzając bez przerwy: „Moja kochana maleńka świnka z poodgryzaniem nóżkami“. Jan milczał dziwnie spoglądając w okół. Wybite oko płakało jakby na wyścigi ze zdrowiem. Chciał matkę ująć za rękę, ale nie miał czym i niezdarnie przygarniał ją do siebie lewem ramieniem bez ręki, gdy prawe zwisało bezwładnie u boku. Staruszka popadła w obłąkanie i w kilka tygodni na udar mózgu zmarła nagle. Od tragicznego wypadku aż do zgonu bredziła ustawicznie o śwince z poodgryzaniem łapkami i prosiła, aby Małgosia przyszła jej kręgosłup przetrącić sztabą od bramy.

Na dworcu wówczas poznać jej nie mogłem, ponieważ wychudła, pochyliła się i posiwiiała na bielutko od czasu zranienia Jana. Jan po ostatnim wypadku kilka dni milczał, pogrążony w apatii. Potem przeszedł w stan niezmiernego rozdrażnienia. Nie znosił zwłaszcza krewnej swojej, która była dlań z bezgranicznym poświęceniem. Ze mną rozmawiał mało, ale się usprawiedliwiał mówiąc, że go to męczy i powoduje szalony ból szczytów czaszki. Chciałem się całkiem usunąć, ale prosił, abym go nie opuszczał.

Po pewnym czasie zaczął się nieco ożywiać i zażądał od Lizy, aby się udała do rodzicielskiego domu w Styryi i przywiozła mu ztamtąd posążek chłopczyka z poodbijanymi stopami i rękami.

Pojechała i wróciła w dwadzieścia cztery godziny z żądanym przedmiotem.

Był bardzo uradowany i prosił mnie, abym z nim został w czasie dwugodzinnej nieobecności Lizy, która codzień używała z polecenia lekarza tego czasu na odpoczynek. Alabastrowa figurka leżała w bibułkę zawinięta na jego kolanach. „Mam ci coś niezwykłego opowiedzieć“, zaczął. „Wieczorem tego dnia, kiedy ogłoszono rozkaz mobilizacyjny cesarza Franciszka Józefa, siedziałem w domu wraz z rodzicami przy stole. Następnego dnia o tej samej porze miałem się udać na miejsce mego przeznaczenia jako oficer armii austriackiej. Był to więc wieczór pożegnalny. Mówiliśmy oczywiście o burzy wiszącej nad światem ludzkim. Nie powtórzę ci szczegółów, ale krótko powiem, że ja

i ojciec wypowiedzieliśmy przekonanie, że Austria byłaby dopiero szczęśliwa, gdyby się ograniczyła tylko do tych krajów, których ludy dobrowolnie chciałyby przy niej pozostać. Matka była na nas oburzona i wyraziła zdziwienie z powodu naszej obojętności dla ojczyzny. Nie dysputowaliśmy, tylko ja zauważyłem, że kraje będące pod „panowaniem“ Austrii, a zamieszkałe przez ludy nie niemieckie nie są ani moją ani mego ojca ojczyzną, skoro obaj jesteśmy Niemcami. Przez cały czas wojny wiedziałem, że różnojęzyczna armia austriacka walczy o moralne i materialne znaczenie firmy gospodarczo-handlowej zwanej państwem austriackim, a dynastia, rząd i władze wojskowe czując, że straszną krzywdę czynią ludziom, zasłaniają się widmem, którego ważność wmawia się „poddanym“ każdego państwa od tysięcy lat. Tym widmem jest p o j ę c i e ojczyzny, bo ona sama faktycznie nie istnieje, ale tylko ludzie. I aby upozorować czemś ważnym eksploatację ludzi mało sprytnych przez sprytniejszych, stwarza się pojęcia ideałów i wmawia się w eksploatowanych ich ważność. Na takiej zasadzie opiera się istnienie wszystkich państw.

Dlatego też nie usunąłem się od obowiązku służby wojskowej, bo gdziekolwiek byłbym się był udał, i do którejkolwiek bądź ojczyzny zgłosił moją przynależność, każda byłaby była zażądała odemnie ofiary ze zdrowia życia i mienia w danym razie, w imię firmy państwowej. Najprościej było trzymać się tej firmy, do której od dzieciństwa przywykłem i z którą mnie uczucie przywiązania z nawyknięcia łączyło. Z moimi zapatrywaniami nie kryłem się wobec oficerów innych, ale przyznałem słusność pewnemu koledze, który wyraził przekonanie, że jemu jako Polakowi taka szczerłość by nie uszła bezkarnie, chociażby nawet nie był żołnierzem. Istotnie Niemcom i Węgrom wolno było więcej niż innym narodom.

Teraz opowiem ci coś całkiem innego. Przed kilkunastu laty oprosiła się u nas świnia. Byłem zachwycony ślicznymi świńeczkami. I stała się rzecz dość dziwna, nie tyle sama przez się, ile w związku z innymi zdarzeniami. Samura poodgryzała kilku własnym prosiątkom nóżki, a sługa Małgosia schwytawszy ją na gorącym uczynku porwała blisko leżącą sztabę żelazną i przetrą-

ciła jednym silnem uderzeniem grzbiet wyrodnej matce. Następnie wpadłszy do pokoju ojca wyznała swoją zbrodnię i oddała do jego rozporządzenia wszystkie swoje oszczędności będące w jego przechowaniu za zrządzoną szkodę. Matka moja nie mogła tego czynu Małgosi wybaczyć i stanowczo zażądała jej wydalenia, mimo oporu ojca i próśb moich. Bo w moich oczach postępek Małgosi był zupełnie usprawiedliwiony wrażeniem, które nią w pierwszej chwili owładnęło. Mimo mego wielkiego przywiązania do matki czułem do niej wielką urazę przez kilka dni przynajmniej, bo mi się wydawało potwornością wszelkie ujmowanie się za okrutną maciorą.

Rozmyślałem nad sposobem przekonania matki, że potępianie bezwzględne Małgosi za jej czyn popełniony pod bezpośrednim i nagłym wrażeniem okrucieństwa wobec własnych dzieci, jest jakoby usprawiedliwianiem potwornej matki. Było to oczywiście przeczulenie spieszczonego jedynaka, który odczuwał to pośrednio jako własną krzywdę. Miałem też ochotę zapytać matkę, coby pomyślała o Małgosi, gdyby spokojnie przypatrywała się, jak świnia moje ręce i stopy odgryza? Ale nie miałem odwagi, bo przez jakiś zabobonny lęk nie śmiałem o sobie mówić w ten sposób, żeby nie powiedzieć „w złą godzinę“. W pewnej chwili zrodził się we mnie pomysł, który natychmiast wykonałem. Stał na biurku matki mały marmurowy posążek ślicznego chłopczyka, któremu w napadzie szalonego podniecenia poodbijałem młotkiem stopy, ręce i twarz z lewej strony uszkodziłem. Był to podarunek babki przed moim urodzeniem, aby matka wpatrując się w piękną postać, modelowała na mocy autosuggestji z krwi swojej według tego wzoru zewnątrz kształty własnego dziecka w swoim wnętrzu. Posążek ten był ideowo związany z moim istnieniem, o czym mi matka w odpowiedni sposób często opowiadała. Kalecząc figurkę w napadzie chwilowego obłądu, czyniłem to z gorączkowym pospiechem, gdyż doznawałem wrażeń, jakoby na sobie samym dokonywał symbolicznego okrucieństwa. Sromotnie znieważony posążek położyłem na dawnym miejscu, bo stać już nie mógł. Matka wpadła w tak straszny gniew, jakiego nigdy nie zauważono u niej ani przedtem ani potem. Ale przeczuła natychmiast, że to ja tylko mogłem uczynić

i w najwyższym rozdrażnieniu wykrzyknęła: żebyś to sam na sobie odpokutował! Usłyszawszy te słowa z drugiego pokoju, wyszedłem z domu i kilka miesięcy pozostawałem u krewnych nie widując się z matką. Później uspokoiliśmy się oboje, ale czułem niewidzialną ścianę, która nas odtąd rozdzielała. Po latach przyszła wojna. Byłem oficerem w rezerwie i miałem obowiązek stawić się w miejscu przeznaczenia, ale ojciec chciał korzystać z prawa uwolnienia mnie, jako jedynego syna siarych rodziców i gospodarza rolnego. Patriotyzm matki stanął temu na przeszkodzie. Poszedłem na wojnę. Pierwszą ranę sam opatrywałem. Gdy po drugim zranieniu odzyskałem przytomność, podyktowałem taki list do matki: Przekleństwo się spełniło. Twoje prosiątko ma poodgryzane raciczki, a lewą stronę twarzy rozbitą jak posążek. Uczyniła to druga moja matka, ważniejsza i bardziej święta, niż Ty, jak mi to sama nieraz mówiłaś. O jej kręgosłup możesz być spokojna. Nie ma takiej Małgosi, ani takiej sztaby, któraby ten pacierz przetrącić mogła. Ta święta matka żyje tylko, w fantazji patriotów, którzy o niej bredzą nigdy jej nie widziawszy. Gdyby była odpowiednia sztaba i Małgosia, musiałyby się mieć na baczności grzbiety tych wszystkich ludzi, którzy straszne widmo owej „świętej matki“ „wymyślili, aby usprawiedliwić „ideo-owo“ swoje ambicje moralne, swoje żądze materialnej potęgi.

Miljony zasugiestjonowanych wierzą święcie i uczciwie w istnienie widma ojczyzny i wszystko mu poświęcają. Są to najsłabsze dusze wiernych fikcyjnej świętości. Ale gdyby nawet wszyscy wiedzieli, co o tem myśleć, nie mogliby się wyrwać z zaczarowanego koła konieczności własnego państwa, gdy każde z państw sąsiednich kręci się w wirze ewolucyjnego przymusu i będąc stale zewsząd zagrożane, samo zagrażać musi.

Rozwiązanie problemu ogólnie ludzkiego może nastąpić tylko po długiej dyskusji wszechludzkiej, wszechziemskiej. Żadna z zarejestrowanych firm państwowych nie może tego zagadnienia rozwiązać na własną rękę bez porozumienia z innymi firmami. W każdym razie jacyś ludzie muszą tę dyskusję rozpocząć i jacyś inni muszą ją podjąć i kontynuować, bo w taki sposób wszystkie mżonki stawały się kolejno rzeczywistościami.

Tymczasem każda bieżąca chwila przynosi z sobą cier-

pienia i tragedje, którym możnaby zapobiedz tylko przez wypowiedzenie służby i wierności dysgenicznym widmom na całej kuli ziemskiej.

Bo tych widm jest bardzo wiele.

Taki list podyktowałem do matki i otrzymała go. Nie wiem, czy wszystko zrozumiała, bo wzajemne zrozumienie się ludzi jest bardzo trudne, choćby się może zdawało inaczej.

Nie mówiliśmy o tych rzeczach nic ze sobą. Tajono, przed nią mój stan prawdziwy. Kiedy ujrzała swoje prosiątko z poodgryzanemi odnóżami, przeszła do innego wymiaru ducha, który zwyczajnie nazywa się obłąkaniem“.

Jan przerwał i zaczął rozwijać posążek z bibułki. Po chwili mówił dalej: „Teraz rozumiesz słowa matki po przyjsciu do przytomności z omdlenia i ścisły związek między niemi, tą figurką alabastrową, świnią okrutną, Małgosią, mną, ojczyzną i prosiątkami. Żal mi niezmiernie tych wszystkich rzeczywiście, które równie słusznie mógłbym nazwać halucynacjami. Czy nie myślisz, że i do zwidów można się przywiązać? Żal mi wszystkich bardzo, wszystkich nie wyłączając biednej ojczyzny, którą tak niedgdyś po dziecięcemu naiwnie kochałem. Jednak nie myśl, że jestem mazgajem. Potrafię ja jeszcze bez rąk, nóg, bez jednego oka, z przyciętym językiem i rozbitą twarzą znaleźć sobie szczęście. Teraz zmęczyłem się i głowa mnie bardzo boli. Zamknę na chwilę oczy a raczej to jedno, które mi zostało, a gdy Liza wróci zechciej jej powiedzieć, ażeby mi podała zielone pudełeczko z wojskowej torby. Mam tam jeszcze dwa proszki przeciw bólowi głowy“.

Za chwilę weszła Liza i podała zielone pudełeczko.

Jan kazał jej włożyć sobie do ust obie pastylki opłatkowe z proszkiem i podać wodę. Połknąwszy, zwrócił ku mnie głowę i rzekł z uśmiechem: „Znasz może ten dowcip pewnego starego profesora położnictwa, który powtarzał zawsze, ilekroć podczas porodu śmierć zabrała i matkę i dziecko: całe szczęście, że ojciec uratowany. Pożegnaj odemnie mego dobrego i mądrego ojca i powiedz mu, że myślałem o nim umierając spokojnie, czego dowodem ten oto dowcip. On mnie zrozumie“.

To powiedziawszy skurczył się nagle, potem wyprężył i skonał.

W pastylkach była trucizna. — Przed wzrokiem mojej duszy pływały widma dysgeniczne w dziwnym korowodzie.

Po śmierci Jana przypominałem sobie często dawniejsze z nim rozmowy. Kiedy pewna dostojna dama ofiarowała mu raz w szpitalu pęk kwiatów i piękną kasetę z przednimi słodyczami, kazał Lizie wręczyć kwiaty i cukry pierwszemu spotkanemu żebrakowi a zwróciwszy się do mnie mówił drwiąco: „Te spartanki, hedonistki wojenne, rozkosznice szpitalne, które w oglądaniu i dotykaniu nagich, rannych i nieprzytomnych żołnierzy, szukają zaspokojenia niezdrowej potrzeby płciowej, (*l'amour de la peau*).

— Nie uogólniaj odrzekłem, bo w rozdrażnieniu krzywdzisz matki, które z dobrą wiarą w ważność sprawy, wysyłają synów do boju, a nie brak też pielęgniarek poświęcających czas, mienie, zdrowie i życie wraz z najszlachetniejszymi uczuciami dla nieszczęśliwych żołnierzy, zapewne też dla rozkoszy ale nadzmysłowej.

— „Odróżniam jasno kobiety szlachetne od nieszlachetnych, matki czy samarytanki, ale mam przekonanie niezłomne, że jedne i drugie mogłyby swoją energię lepiej ulokować.

Gdyby te matki, które wysyłają synów na poniewierkę wojenną, na możliwość kalectwa, lub cierpień w niewoli, nie mówiąc o śmierci jako najlepszej z tego wszystkiego, gdyby one rozporządzały uczuciem macierzyńskim nieosłabionem przez sugestjonerów dysgenicznego patryotyzmu, nie dopuściłyby do wojen.

Sam wiesz najlepiej, którzy to są ci sugestjonerzy: Oto ci którym wojna jest potrzebna dla zaspokojenia ambicji państwowej, czyli osobistego obłędu państwowego, ambicji zawodowej u tzw. mężów stanu, albo do zrobienia materialnego interesu.

Matki spartanki dotknięte są paraliżem uczuć macierzyńskich a przeczułeniem patryotycznym, dzięki sugestjonerom z literatury, prasy i ustnej propagandy. Zrozumieli już psychologowie, że popęd do męczeństwa u pierwszych chrześcijan, do prześladowań i okrucieństw na tle religijnem, do wojen krzyżowych, do nawracania innowierców itp., to obłędy masowe przemijające po pewnym czasie. To samo odnosi się do obłędu patryotycznego. Żaden argument tych Indzi nie nawróci, bo zarazki tej pandemii umysłowej, tej zarazy uczuciowej są jeszcze zbyt żywotne.

— Ale wyczerpią się z czasem.

— Zapewne, że tak, ale dopóki zaraza znajduje się w rozkwicie, kobiety są wobec niej tak samo bezsilne, jak mężczyźni.

— Niezawodnie. Można jednak liczyć na pewną akcję odpornych z natury na sugestje dysgeniczne, tak mężczyzn, jak kobiet.

Jedni i drugie musieliby się zorganizować międzypaństwowo i międzynarodowo na całej kuli ziemskiej, wejść w ścisły kontakt ze związkiem narodów i rozpocząć spokojną, przedewszystkiem na rozumie opartą działalność eugenizującą.

Matki — ojcowie — córki — synowie, siostry — bracia, żony — mężowie. To potęga!!

Czyż taka międzynarodowa liga kobiet i mężczyzn, liga eugeniczna, nie zdołałaby przekształcić świata w sensie dobrej doli i pięknej śmierci?

Czyż wśród kobiet nie ma zdrowo i spokojnie myślących, a zdolnych do eugenicznych czynów?

Czy wśród mężczyzn są tylko sami fanatycy państwowi, narodowi i partyjni? Sami zwolennicy używania dysgenicznego?

Na pewne nie. A ci spokojni, roztropni i zrównoważeni ludzie obojga płci zdobędą się na zaniechanie wszelkich ubóstwian, ale zarazem wszelkich krzyżowań i kałowań. Zostawiwszy masochistów i sadystów, neurasteników i histeryków, maniaków i melancholików i wszelkich innych chorych ludzi płci obojga na opiece lekarzy-specjalistów, zabiorą się, bez obłędnego fanatyzmu i zgiełkowej wrzawy, bez przesadnych nadziei, ale też bez wątpienia, do powolnej i systematycznej pracy, obliczonej na długie pokolenia, nie zrażając się małymi wynikami we współczesności.

*

*

*

W jednym z uroczych zakątków Ukrainy, w miejscu ustronem i odległym od ludzkich siedzib, stał młyn w połączeniu z mieszkankiem stadła, które po czternastoletnim okresie jałowego pożycia doczekało się utęsknionego dziecięcia.

Była to dziewczynka jasnooka, uśmiechnięta i tak zdrowa, że kumoszki, zdaleka i zbliśka przybywające, aby ujrzeć uszczęśliwionych rodziców i dziecko, o którym wiejska pomagalska cuda prawiała, rozpoznały w nim jedno z tych dzieci, które wszystko zdrowie zabierają matkom przy urodzeniu.

Istotnie, matka czterdziestoletnia odbyła poród bardzo ciężko, tembardziej, że był to jej pierwszy. Ale musiał też być i ostatnim, bo się coś we środku „wywróciło“ według wyrażenia wiejskiej „babki“ i skazało na bezpłodność. Od tego czasu nigdy nie odzyskała dawnego zdrowia. Oboje młynarzowie byli chłopskiego pochodzenia, a wszyscy ich przodkowie żyli z ciężkiej pracy fizycznej, nigdy nie mieli pańskich fantazji rozgrzewania nóg zziębniętych we wnętrznościach swoich „poddanych“, ani napędzania batami chłopskich matek do mamczenia swoich dzieci... A jednak fala głupiego motłochu zburzyła ich dom i młyn, rozniosła cały dobytek, zhańbiła dziewięcioletnią dziewczynkę w oczach rodziców, zhańbiła żonę w oczach męża i wszystko troje żywcem zasypała ziemią. Kto winien? Widma elity społecznej. Bo ona wytworzyła pokusy wyrafinowanego użycia, które nęcą prostaków, ona w dzień i w nocy dostarcza przykładów zbytku, którego nieokrzesana ludzka małpa chce również skosztować, naśladując z przyrodzenia okrzesaną małpę ludzką z elity społecznej. Jaka rada? Zniwelować stopę zyciową w drodze przymusu ustawowego do eugenicznego poziomu. Niziny społeczne dźwignąć, elitę społeczną przygiąć do eugenicznego umiarkowania — dla szczęścia każdego i wszystkich.

Prasa radzi się społeczeństwa, jak poprawić moralnie zwyrodniałe dzieci uliczne?

Kolonie karne, domy poprawy, ochronki, domy pracy itp., znaczą niezawodnie coś, ale nie wiele. Gdy stwarzamy wylęgarnie zarazków moralnych, my, elita społeczna: rodowa, naukowa, artystyczna, publicystyczna, finansowa etc. ale nie obyczajowa, gdy każdego dnia, każdej nocy, godziny i minuty przekraczamy granice zdrowego i mądrego używania, gdy z produkcji i handlu truciznami znieprawiającemi dusze i mózgi prostaczków czynimy źródła dochodów, nie cofając się nawet przed paskiem, gdy nie umiemy uświadamiać eugenicznie maluczkich, albowiem sami nie jesteśmy uświadomieni, gdy nie umiemy wychować sobie nauczycieli eugenizmu, ani takich szkół stworzyć, to nie pyskujemy i nie biadajmy gołosłownie, a nie dziwmy się, że ani interwencja wojska, ani kryminal nie pomaga. Bo łatwiej uchronić się przed

plagą szarańczy, komarów, much, pluskiew, pcheł, wszy itp. zapomocą zapobiegania ich rozmnażaniu się, niż wyłapywaniem i niszczeniem tych pasożytów, skoro już się rozmnożą.

.Podobnie rzecz się ma z wszelkimi najmniejszymi zarazkami materialnymi, a nawet moralnymi.

Ekscelencjo klerykalna, konserwatywna, demokratyczna, narodowa, socjalistyczna, komunistyczna, liberalna, radykalna, finansowa, paskarska, redaktorska, żydowska, chrześcijańska, poselska, rządowa, wojskowa i wszelka inna, racz przeprowadzić gruntowną rewizję Twoich uczynków!

Ekscelencjo! wyobraź sobie, że jakiś czarodziej przemienił Cię w prostaka, gołym zadkiem świecącego, brudnego, głodnego, głupiego, na ulicy wychowanego, który widuje codziennie poza lustrzanymi szybami, nawet w dzisiejszych smutnych czasach ludzi obstawionych przysmakami, napitkiem, palących dobre cygara, wystrojonych, sytych, tłustych i wesołych!

Ekscelencjo! spróbuj odgadnąć, jakbyś wówczas myślała i cobyś chciała czynić? Czy godziłabyś się z losem bez szemrania, czy też buntowałaby się dusza Twoja przeciw elicie społecznej faktycznej i nominalnej, że nie nauczyła Cię rozumu, pracy, czystości, że nie umożliwiła Ci przez to dostatku, powodzenia, zadowolenia, spokoju?

Ekscelencjo redaktorska! która za swoje, czy też pożyczane używasz z przyjaciółmi i przyjaciółkami przy kieliszku i cygarku, czy nie powinnaś świecić przykładem mądrego umiarkowania, aby Twoje drukowane mogło być skuteczne.

Od g ł o w y r y b a ś m i e r d z i! Krążą wieści, że administracja pewnej odnowionej republiki uprawia w wyższym stopniu łapownictwo niż rosyjska, że kresowi rodacy zetknąwszy się z tymi objawami patryotyzmu marzą raczej o własnej państwowości, niż o połączeniu z dostojną republiką.

O elito społeczna! Gdybyś była oddawna chadzała do mądrych głów po rozum, nie byłoby już dawno głupich tłumów i nie byłoby kogo obawiać się w straszne dni zarazy psychicznej powojennej.

Na nazwę mądrego ten zasługuje, kto używa mądrze. O elicie społecznej tego powiedzieć nie można, bo daje się ła-

cno brać na kawał w i d m o m dysgenicznym i pyta się naiwnie, kto winien deprawacji dzieci ulicznych.

O elito społeczna stwórz ustawę o przymusie eugenicznego trybu życia u góry, a zniknie automatycznie dysgeniczne rozpaśnięcie u dołu.

* * *

Nie potrzeba być uczonym, aby się poznać na znaczeniu i wartości dysgenicznego patriotyzmu, który z konieczności wiedzie do imperjalizmu a w następstwie i militarystyki. Że i ludzie prości rozpoznają w najzłośliwiej nam panującym zdawkowym patriotyzmie nieetyczny materializm, świadczy zwrotka żołnierska znana dobrze na Podhalu:

„Zeby nie c y g o n ś w i a t, nie bełbyk zoimirzem,
„Nie nósiełbyk kabata z cyrwonym kołmirzem“.

Słyszałem tę piosnkę nieraz śpiewaną przez dawnych żołnierzy austriackich z 20 pp., rekrutujących się z Podhala. Ale tak śpiewali ją tylko po pijanemu, albo gdy mieli pewność, że nie powołani nie słyszą, bo wiedzieli, że mogli się narazić na zarzut braku patriotyzmu.

Gdy ostrożność była wskazana, zmieniali słowa „cygon świat“ na inne, np. „Marysia“ itp. Dowodzi to zdolności zdrowego oceniania rzeczy u naszego ludu.

Na lep fałszywych haseł patriotycznych dawały się chwytać z dobrą wiarą od dawna natury uczuciowe, a więc artyści, młodzież i kobiety, albo medja łatwo przystępne dla sugestji. Narzędziami wyzyskiwanymi chętnie i często przez zimnych giełdziarzy i handlarzy politycznych (mężów stanu i dynastów) w pośrednictwie sugestjonowania patriotyzmu dysgenicznego, byli zdawien dawna a r t y ś c i s ł o w a. Ilość ich jest znaczna.

Przytoczę tu tylko jednego znanego dobrze z ostatnich czasów: Gabryela d'Annunzia.

Jestto klasyczny okaz Bellerophonta śmigającego wśród chmur dla dania dobrego przykładu rodakom, jak się zwycięża Chimere ogniem ziejącą. To typowy okaz rycerza-poety-patrioty, używającego do krwawych swych lotów rumaka mitycznego, który z krwi Meduzy wziął początek. Wielcy to artyści być mogą,

ale przyjdzie czas, że ludzie od nich się odwrócą, gdy cierpienia przez tych fałszywych proroków wywołane przekroczą ludzką miarę.

Jeszcze potężniejszym środkiem używanym przez geszefciarzy politycznych do sugestjonowania masom dysgenicznego patriotyzmu, jest prasa.

Jest ona znakomitym i skutecznym środkiem do utrzymywania ludzi w wierze, zapatrywaniach, uczuciach, woli i czynach, niezgodnych z mądrym egoizmem dalekowidzącym. W następstwie prasa jest znakomitym środkiem do podtrzymywania i podsywania cierpienia, wskutek podsycania egoizmu płytkiego, ciastnego, nie daleko sięgającego.

•Prasa podtrzymuje zastój umysłowy, przeszkadza postępowi. To czyni prasa każda, więc nawet ta, która siebie uważa za postępową, czyli, że najbardziej postępowe dzienniki i czasopisma ze znanych mi, są konserwatywne.

Prasa tylko tych nie ogłupia, którzy jej poważnie nie biorą i nie przejmują się. Takich jest bardzo mało.

I mnie jako publicyście nikt nie powinien wierzyć na ślepo, ale sprawdzać moje twierdzenia zapomocą obserwacji faktów.

Sugestia haseł i dogmatów rozpoczyna się w dziecięcym wieku.

Każda rodzina trzyma się jakiegoś kierunku politycznego, jakiegoś obozu społecznego i odpowiednio do tego jakiegoś dziennika.

Dzieciom wpaja się przez nawyknienie pewne zapatrywania, których się nasłuchają i naczytają od dzieciństwa.

Towarzyskie stosunki kojarzą się najłatwiej między współideowcami.

W ten sposób ludzie dorośli nie wybierają między różnymi poglądami, ale dochodząc do dojrzałości umysłowej, mają je już narzucone i wpojone przez powolną sugestję od dzieciństwa, tak jak religijne wyznania.

W takich warunkach bardzo rzadko zdarzają się umysły zdolne do rewizji poglądów i czynów z nimi związanych, oraz oceny ich według skutków.

Krytycyzm choćby względnie obiektywny jest wielką rzadkością.

Prostaczkowie umysłowi, których jest najwięcej jurant in verba magistrorum (przysięgają na słowa mistrzów) z całą naiwnością.

Tymi mistrzami są: rodzina i gazeta, kościół i szkoła, towarzysze zabawy, nauki i pracy zawodowej, literatura piękna i naukowa, teatr, mowcy na zgromadzeniach partyjnych, pisemka ulotne itp. (C. d. n.)

Od Redakcji:

Szczupłe ramy wydawnictwa, wobec następczących się aktualności bieżącej chwili, które w pierwszym rzędzie wypada uwzględnić, nie pozwalają niestety bezpośrednio kontynuować artykułów rozpoczętych w poprzednich zeszytach. Cierpi na tem ciągłość treści, której całość ukaże się dopiero w rocznikach. Dlatego składajcie roczniki „Eugeniki”. — Wielkie idee należy sugestjonować masom przez ustawiczne powtarzanie w różnych opracowaniach.

Zwolenników idei eugenizmu prosimy o zjednywanie odbiorców i czytelników naszego czasopisma i o rozszerzanie go wśród znajomych i przyjaciół.

Żądajcie „Eugeniki” w biurach dzienników, na dworcach, w restauracjach, kawiarniach i t. p.

TREŚĆ ZESZYTU VI-GO R. 1919.:

Widma, str. 1.

Czcionkami drukarni „Polonia” Jana Trybuły w Zakopanem.